

Andrzej Zawada

Powiat jako format

Rocznik Wieluński 10, 85-95

2010

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Andrzej Zawada

POWIAT JAKO FORMAT
[FRAGMENT WIĘKSZEGO FRAGMENTU]

(...) to, co zwykle opowiadają pod nazwą autobiografii, jest najczęściej tylko zwykłym plotkowaniem. Autobiografia ma rację bytu tylko wtedy, gdy pisarz odczuwa swoje osobiste istnienie jako mikrokosmos uzupełniający w organiczny sposób istnienie uniwersalne. A więc opowiada nie o tym, co się działo z nim i wokół niego, lecz zapisuje, jak świat działo się w n i m. To jest ta inna, osobista historia świata.

Sándor Márai, *Dziennik*, przeł. T. Worowska, Warszawa 2006, s. 487

1. Otrzymałem zaszczytne zaproszenie, by być autorsko obecnym w jubileuszowym, dziesiątym tomie „Rocznika Wieluńskiego”. Ogromnie cenię „Rocznik Wieluński” i kolejne jego edycje czytam dokładnie, z niesłabnącym zainteresowaniem i ze stałym przekonaniem, iż autorzy publikujący w tej serii wydawniczej oraz jej redaktorzy wykonują ogromną, bezcenną pracę, wydobywając z archiwów nieznane dotąd dokumenty, rekonstruując nieprzebadane wydarzenia, przedstawiając fascynujące i pouczające epizody lokalnej historii i kultury.

Jeżeli mają Państwo tyle cierpliwości, żeby przeczytać kilka stron wynurzeń, które nieuchronnie dalekie są od klarowności i których temat trudno będzie wyodrębnić nawet przy uważnej lekturze, poczuje się bardzo wdzięczny i zobowiązany. Znalazłem się oto bowiem w sytuacji, o której można powiedzieć, iż jej istotą jest osiągnięcie właściwego poziomu niekompetencji.

2. Potrzeba napisania książki, którego fragmentu zechcieli Państwo być pierwszymi czytelnikami, chodzi za mną od bardzo dawna. Pojawiła się bodaj w Finlandii, pod koniec lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Mieszkałem wtedy w nadbałtyckim,

starym i urodziwym mieście Turku, którego starsza, szwedzka nazwa brzmiała Åbo i oznaczała osadę położoną nad rzeką. Istotnie, przez środek miasta przepływa rzeka o pięknej nazwie Aura i wpada do morza. Ujścia rzeki, albo wejścia do historycznego grodu, strzeże masywny gotycki, zbudowany z kamienia zamek, któremu nieco oglądy dodała w szesnastym stuleciu Katarzyna Jagiellonka.

Dłuższe przebywanie wśród ludzi odmiennego języka i kultury dość odrębnej od tej, w której wzrastaliśmy, wyostrza zmysł różnicy. Konieczność przekładania swoich myśli na całkowicie niepodobne do łacińsko-europejskiego słownictwo i gramatykę, stała gotowość do wyjaśniania historii i doświadczeń swojego narodu, sprzyjają uwrażliwieniu na własną społeczną przeszłość. Zwłaszcza gdy czyni się to ze zwiększoną intensywnością, bo jest się wykładowcą uniwersyteckim, uczącym miejscową młodzież języka polskiego i wykładającym literaturę wraz z szerokimi kontekstami kulturowymi i historycznymi. Konfrontowanie własnego dziedzictwa narodowego z właściwościami kultury, w której się znaleźliśmy, staje się codzienną praktyką i umysłowym zajęciem, które wciąga nas i intryguje coraz bardziej.

Konfrontacja nie jest tu chyba najbardziej adekwatnym określeniem, bowiem to nie starcie o charakterze konfliktu, ale raczej permanentny proces poznawania i analizowania odmienności i podobieństw. Wszak żeby odkryć, że mówi się prozą, trzeba zdobyć wiedzę o tym, że istnieją różne rodzaje mowy i osobne gatunki wypowiedzi. Cywilizacja Skandynawów nie jest Polakom dobrze znana, związki ekonomiczne i kulturalne między nami nigdy nie były wielkie, choć obecność Katarzyny Jagiellonki na zamku w Åbo w roli matki królów miała swoje następstwa. Jednak jedynym doświadczeniem wspólnym, zresztą należącym do tych konsekwencji, doświadczeniem, które trwale zapisało się polskiej pamięci narodowej, a następnie przeobraziło w jednoznaczny stereotyp, stał się szwedzki „potop”. Trudno byłoby o nim powiedzieć, iż mógł sprzyjać naszemu życzliwemu zainteresowaniu dla sąsiadów zza Bałtyku.

Dwa lata przeżyte wśród Finów i z nimi przepracowane to nie było szczególnie dużo, ale wystarczyło, by wykształcił się i utrwalił nawyk patrzenia na własną narodową tożsamość i na swoje indywidualne doświadczenia życiowe jako na symptomy procesów zachodzących w skali mikro, które w jakimś stopniu muszą odzwierciedlać prawidłowości należące do makroskali.

Ale czy to wystarczy do stworzenia opowieści, która ma być nie tylko prawdziwa i rzetelna, ale w tym samym stopniu ciekawa, zajmująca, intrygująca? Dawniej autobiografie lub pamiętniki pisali wielcy wodzowie, którzy zmieniali losy świata; po nich politycy, których życie wynosiło nadspodziewanie wysoko i którzy często doświadczali spektakularnych upadków. W epoce dyktatury mas autobiografie stały się dodatkowym atrybutem filmowych, piosenkarzy i wszelkiej odmiany celebrytów. A o czym może opowiedzieć człowiek z podwójnej prowincji – z małego miasteczka zagubionego w pobocznym kraju, leżącym w mniej ważnej części Europy? A szczególnie, jeżeli jest to człowiek, który do niczego w życiu nie doszedł, nie stał się kimś znanym, niewiele

podróżował, nie miał przygód kryminalnych, nie stał się autorem lub obiektem afer miłosnych, finansowych czy politycznych, nie uczestniczył w skandalach ani w przewrotach, nie bił się na wojnach, nie balował z wielkimi tego świata, nie ma pojęcia o tego świata tajemnicach, niebezpieczeństwach ani urokach. O czym taki Pan Nikt może opowiedzieć? I kogo to może zainteresować?

I czy ta materia opowieści, czyli życie i wiedza pana Nikt, są choćby na tyle zajmujące, żeby sam autor się nie znudził i żeby wytrwał przy pisaniu? To są pytania i obawy z gatunku zasadniczych. A jest ich więcej.

3. Idę właśnie do szkoły. Ja? Czy to ja idę właśnie do szkoły? Ten chłopak w krótkich granatowych spodniach, spod których wychodzą beżowe bawełniane pończochy, strój żywcem wzięty z XIX wieku i w naszej części Europy – choć to już zaczęła się druga połowa stulecia XX, epoka atomu – wciąż obowiązujący; ten chłopak w granatowym swetrze, z niepokornym wicherkiem jasnych włosów na czole, to ja? W tekturowym tornistrze pomalowanym brązową farbą, mającą udawać skórę, grzechoczą książki w sztywnych okładkach i drewniany piórnik. Tak, trzeba przyjąć, że to ja.

Jestem na środku Nowego Rynku, widzę przed sobą niski, lichy, pomalowany na żółto barak z dumnym szyldem Dworzec Autobusowy, kiedy unieruchamia mnie nagle i bardzo głośne wycie syren. Posłusznie stoję w miejscu, widząc, że przechodnie zatrzymują się, rowerzyści zsiadają z rowerów. Pamiętam tę scenę. Widzę tamtych ludzi, ryk syreny uciska mi uszy, czuję zapach marcowego, przedwiosennego powietrza, mieszaninę świeżej aromatycznej wilgoci, zapowiedzi młodego listowia, delikatnego ciepła, które rozprzestrzeniają w powietrzu białe promienie marcowego słońca. Widzę to wszystko, czuję, słyszę. W tej chwili odtwarza to wszystko wcale nie twardy, ale całkiem miękki, nietrwały dysk mojej pamięci. Zatem ten chłopak miał być mną. Ja byłem tamtym chłopakiem.

Wycie trwa dość długo, a ja nie wiem, co ono oznacza, podobnie jak nie wiedzą dorośli, którzy obracają głowy, patrzą to w niebo, to wokół siebie. Znajduję się w pobliżu kościoła Bożego Ciała, ale dzwonnica milczy. Nie jest to więc chyba jakiś kataklizm. Z pewnością nie pożar, ponieważ ludzie nie trwaliby tak nieruchomo, starając się ustać w miejscu i w milczeniu. Spoglądają po sobie, jakby uważali, że powinni naśladować się wzajemnie. Takie syreny wyją co roku pierwszego września, ale pierwszy września już minął. Dzisiaj mamy 13 marca 1956 roku. Wczoraj były imieniny mojego małego braciszka, który liczy sobie już półtora roku. Dostałem bardzo smaczną czekoladę o nazwie Jedyna. Jestem uczniem pierwszej klasy szkoły podstawowej.

Teraz, w końcu roku 2009, nie umiem powiedzieć, czy była to Szkoła Podstawowa nr 1, czy w ogóle miała numerację. Wydaje mi się, że w owym czasie była w mieście jedna szkoła podstawowa. Rozmnożenie szkół, zresztą przez prosty podział naszego szkolnego budynku, nastąpiło chyba nieco później?

Nie wiem, co się dzieje, ale wyczuwam, że to coś innego, wyjątkowego. Dopiero w szkole dowiaduję się przyczyny tego alarmu, informuje nas nauczycielka, każąc

wstać z ławek i stać przez chwilę bez ruchu, co nazywa „minutą ciszy”. Umarł Bolesław Bierut, mówi. I wskazuje szarą fotografię pana z wąsikiem, wiszącą na ścianie, pod białym orzełkiem na czerwonej tarczy. Aha, myślę, ten pan umarł. Każdy ma o tym wiedzieć. Podobny jest do księgowego z PZZ-tów, gdzie pracuje tata. Pewnie powieszą w tym miejscu zdjęcie jakiegoś innego pana.

Ten pan z równo strzyżonym wąsikiem był najważniejszym urzędnikiem, dyrektorem wszystkich dyrektorów i kierowników. Ciekawe, czy tata ucieszy się ze zmiany szefa. Na szefów przeważnie się narzeka.

Ale kiedy po lekcjach wracam do domu, nie pamiętam, żeby o to zapytać. A tata w ogóle o tej sprawie nie wspomina. Jednak chyba to ważne, przecież wszyscy ludzie w mieście mieli się zatrzymać, nic nie mówić i zastanawiać się. A dla taty to nieważne?

Moja droga do szkoły jest długa, przemierzam prawie całe miasteczko – w każdym razie całe jego centrum. Rodzice mnie nie odprowadzają, pierwszego września pokazali mi trasę i od drugiego dnia nauki chodzę sam. Mija jesień, po niej zima. Wychodzę z domu wcześniej i nie muszę się bardzo spieszyć. Miasteczko otwiera przede mną kolejne swe plany i skromne perspektywy.

Miasteczko nazywa się Wieluń. Tu się urodziłem. Nie wiem, czy je lubię, czy nie. Nie znam takiego pytania. Ocena naszego miejsca urodzenia pojawia się jako zagadnienie później, kiedy już wiemy o istnieniu świata, o innych, większych, bogatszych, ciekawszych, bardziej dynamicznych miastach, o których zaczynamy marzyć i do których kiedyś, wcześniej czy później, pojedziemy, w których – co bardzo prawdopodobne – zamieszkamy. Na razie nasze miasteczko jest wszystkim. Jest rzeczywistością.

A zatem mamy 13 marca 1956 roku. Ciemny blondyn w krótkich spodenkach, na którego koledzy wołają Jędrak, maszeruje do szkoły. Liczy sobie siedem i pół roku. Jego wzrok wyostrza się, zaczyna dostrzegać odleglejsze plany. To nie ma znaczenia, że za kilka lat Jędrak zacznie nosić okulary, gdyż okulista stwierdzi początki krótkowzroczności. W zauważaniu złożoności życia krótkowzroczność nie jest utrudnieniem.

4. Każde poszczególne życie jest wystarczająco szczerze wypełnione istnieniem i próbować je utrwalić, a następnie odtwarzać, choćby w postaci tak uproszczonej i ostruganej z urody jak wspomnienie, musi być próbą zabierania komuś czasu. A zabierać komuś czas to uszczuplać czyjeś życie po to, by tym przejętym kawałkiem powiększać nasze. Trudno byłoby takie postępowanie nazwać właściwym. Dlatego wciąż nie jestem przekonany o potrzebie spisywania wspomnień.

Zatem jeżeli istnieje, mimo wszystko, jakieś usprawiedliwienie dla pisania, którego przedmiot stanowi nasza osobista przeszłość, to może nim być jedynie prywatna próba zrozumienia własnej egzystencji. Próby takie podejmuje każdy i niejednokrotnie. Najczęściej mają one postać spontanicznych refleksji pojawiających się w najprzeróżniejszych okolicznościach życiowych. Znacznie rzadziej otrzymują formę zapisu. W każdym pokoleniu pojawiają się jednakże osobnicy, którzy nie mogą się oprzeć potrzebie nadania swoim rozważaniom postaci tekstowej, co – w tych przypadkach – jest

elementarnym warunkiem względnego uporządkowania myśli. Dla takich osób pisanie zdaje się być koniecznością – bez niego, bez fizycznej aktywności ręki i pióra, albo komputera, nie są w stanie usłyszeć, a tym bardziej zrozumieć, własnych myśli. Muszą je zobaczyć.

W ten sposób pojawiają się wśród nas teksty. Mogą to być wspomnienia, mogą być inne gatunki piśmiennictwa; niektóre zaliczamy do literatury, dopatrując się w nich walorów estetycznych. Te ostatnie zaś stanowią, według uniwersalnego przekonania, usprawiedliwienie dla publikacji. Dziesiątki, a raczej setki tysięcy osób piszą i publikują w nadziei, że ich teksty są wyposażone w tę odrobinę niepowtarzalnego piękna, które zapewni im samodzielny żywot. Nie muszą chyba dodawać, że historia literatury jest w przeważającej, w bardzo przeważającej mierze, cmentarzyskiem takich marzeń.

Wspomnienia korzystają jednak z pewnej taryfy ulgowej. Czytelnik jest skłonny sięgać po nie, nie zważając na deficyty ich urody. Na ogół zadowala się komunikatywnością, a satysfakcji upatruje w samej treści. Cudza opowieść jawi się głównie jako dodatkowa ścieżka obok naszej własnej życiowej drogi. Proponuje dopowiedzenia, zaprasza do porównań, pomnaża nasze wiadomości i daje nadzieję na uzupełnienie doświadczenia. Od wspomnień nie oczekujemy artyzmu. Żądamy natomiast wiedzy, która pomoże naszej indywidualnej egzystencji wyjść poza fizyczne ograniczenia czasu i przestrzeni.

Opowieść, którą być może zdecyduję się spisywać, powinna mieć za przedmiot kilka ulic mojego rodzinnego miasteczka. Ulic, których już nie ma. Wprawdzie przechodziłem nimi wczoraj, widziałem umieszczone na tabliczkach ich nazwy, znalazłem na swoim miejscu i rozpoznałem znajome budynki, mimo to nie mogę nie oznajmić, że ulic, które pojawiają się w moim opowiadaniu, już nie ma.

I miasta, o którym chcę mówić, także nie ma.

W tym zawiera się istota literatury, że opowiada ona o rzeczywistości nieistniejącej. Zwykle nie ma jej dlatego, że była wcześniej. I minęła. Zgodnie z prawem zapisanym w wierszu Wisławy Szymborskiej:

*Kiedy wymawiam słowo Przyszłość,
pierwsza sylaba przechodzi już do przeszłości
(Trzy słowa najdziwniejsze)*

Ale nie tylko dlatego, nie tylko z powodu istnienia czasu, literatura wyrasta na podłożu świadomości przemijania.

Również wtedy, kiedy stara się mówić o teraźniejszości, literatura przedstawia to, czego nie ma. Także wówczas, gdy sprowokowana przez swoją epokę próbuje ją przeniknąć swoim porządkującym (?) wzrokiem, również wtedy widzi to, czego nie ma. A przynajmniej – co nie zawsze leży na powierzchni codzienności.

Dlatego współcześni często nie są zadowoleni ze swojej literatury. Zarzucają jej stronniczość, a nawet ślepotę. Albo też na odwrót – zachwycają się tą czy tamtą książką, kreując ją na chwilowe arcydzieło. Jeżeli nie są zadowoleni, to zazwyczaj dlatego,

że zwierciadło literatury ukazuje wizerunek niekoniecznie znany z oswojonych luster domowych. Słowo pisane zachowuje się najczęściej jak zwierciadło z bajki o królewnie Śnieżce – powiada, że piękno znajduje się gdzie indziej.

Jeżeli natomiast czytelnicy są swoją współczesnością literacką zachwyceni, to prawdopodobnie dlatego, że ona im przytakuje, że opowiada o tym, o czym już wiedzą skandynaw. Kiedy sami zaczną dostrzegać i rozumieć więcej, wtedy odrzuca tamte książki jako coraz mniej czytelne albo za mało treściwe. Na tym zresztą polega los ogromnej większości dzieł. Gdy wraz z ich epoką odejdą mieszkający w niej czytelnicy, okaże się, że zapisane zdania i naszkicowane obrazy były jedynie partyturą, że wypełniali je detalami i refleksjami własnego doświadczenia, że kolorowali swoimi emocjami. Z braku tych ożywiających uzupełnień usycha a następnie ginie w niepamięci przeważająca część literackiego dorobku kolejnych epok. Współczesność zaś nie jest w stanie odgadnąć, co okaże się interesujące dla potomności. Wiadomo jedynie, że ta ostatnia traktować będzie przeszłość jako – w najlepszym razie – nieogarnione archiwum, z którego wyjmować można, na chybił-trafił i dla doraźnych potrzeb poznawczych lub edukacyjnych, dość przypadkowe i niekonieczne reprezentatywne ilustracje.

Jeżeli decydujemy się spisywać wspomnienia, oznaczać to będzie również, że bez względu na to, czy mogą się one okazać dla kogoś interesujące czy nie, a więc użyteczne czy też bezużyteczne, jesteśmy przekonani, iż zapis naszych doświadczeń i obserwacji może zawierać sens ponadindywidualny. Za oczywistość przyjmujemy zatem taki oto paradoks: w jednostkowym realizuje się powszechne. W lokalności najcenniejsze jest to, co uniwersalne.

Doświadczenie egzystencji – czyli jej podstawowych składników i wartości: piękna, radości, smutku, bólu, śmierci, miłości, spełnienia, tęsknoty, pragnienia – jest ponadczasowe i bezgraniczne.

Powiecie: w takim razie lokalność jest bez znaczenia. Skoro idzie o zawartość, odczuwanie i sens indywidualnego losu, skoro pojedyncze istnienie spełnia się według niezmiennych praw, to jakie znaczenie może mieć lokalność? Przecież jego istotą jest jednorazowość, zmienność i odmienność, niepowtarzalność i chwilowość, a więc lokalność musi być zaprzeczeniem uniwersalności.

Ale, o czym wszyscy wiemy, ogólne istnieć może jedynie za pośrednictwem szczególnego. „Niczego nie można zrozumieć inaczej, jak przez szczegół” – mówi jedna z postaci w powieści Czesława Miłosza *Zdobycie władzy*. Narodziny i śmierć, radość i cierpienie, praca i piękno, muszą za każdym razem przyoblec się w czyjeś konkretne życie. A ono możliwe jest jedynie w jakimś „gdzieś” i „kiedyś”. Inaczej mówiąc, nie zrealizuje się bez ulokowania w przestrzeni geograficznej i w czasie historycznym. Lokalność tworzy zatem system korzeniowy egzystencji.

I niech to będzie usprawiedliwieniem.

5. Dobrze wiemy, co myśleć o małych miasteczkach. Ale czy się nie mylimy? Może małe miasteczka tylko z pozoru są jednoznaczne?

Dla jednych zasługują co najwyżej na miano zapadłych dziur, podczas gdy dla innych są naturalnym złożem talentów i fundamentem porządku. Są tacy, co nie wyobrażają sobie życia poza nimi i zawsze tam wracają; są tacy, którzy myślą tylko o tym, jak ze swojej ciasnej prowincji uciec. Domy w małych miasteczkach są dla jednych przytulne, dla innych zaś przybierają kształt pułapek. Dziewczyny z małych miasteczek są liryczne tyle, ile trzeba i praktyczne też tyle, ile należy. Nad małymi miasteczkami świeci słońce i przechodzą deszcze. Walec historii niejednokrotnie gniecie małe miasteczka długo i boleśnie, ale wie się o tym mało, bo – jak mówi poetka – kamery wyjechały już na inną wojnę.

6. Adres. Zaczniemy od adresu. W powojennej polskiej rzeczywistości adres stanowił podstawę urzędowej identyfikacji i kontroli państwa nad obywatelem. Nie istniały PESEL i NIP. Adres, imiona rodziców, panięskie nazwisko matki – wszystkie te rubryki wciąż trzeba było wypełniać, a brzmiały one w uszach równie przyjaźnie jak pierwsze pytania milicyjnego przesłuchania.

Adres to było przede wszystkim miejsce. Nasze miejsce, które na wstępie dostaliśmy od losu. Wskazany przez Reżysera punkt, w którym wychodzimy na scenę życia.

Nasz Jędrak, który właśnie zatrzymał się na Nowym Rynku, wsłuchany w wycie syren, otrzymał adres, który brzmiał: Wieluń, ul. Sieradzka 8.

Nie jestem kolekcjonerem, nie gromadzę pamiątek, papierów, bibelotów, znaczków pocztowych, nawet w przechowywaniu listów nie mógłbym świecić przykładem. Choć w kwestii tych ostatnich nie jestem tak konsekwentny i niektóre przechowuję. Nie jestem pedantem, nie mam duszy archiwisty ani bibliofila. Moja biblioteka podlega nieustannemu strzyżeniu, jak żywopłot trochę neurotycznego ogrodnika, który obawia się, żeby wyrosnięte krzewy nie przesłoniły mu światła. Liczne przeprowadzki nauczyły mnie redukować dobytek. A jednak zachował się, chyba przez przypadek, dokument, na którym ten adres mam wypisany. To karta rowerowa, legitymacja uprawniająca niegdyś do kierowania rowerem. Kartę tę otrzymałem – czy raczej otrzymał tamten chłopak z Wielunia, który w jakimś stopniu pozostał we mnie – w roku 1958. To nawet zabawne. Ten szary, wystrzępiony, pognieciony od noszenia w kieszeniach kartonik przeistacza się na moich oczach w pamiątkę historyczną. Wynurza się z przeszłości jak dziwny, niewiadomego przeznaczenia przedmiot z zamierzchłych i zapomnianych czasów. Bo nie ma już tamtego mieszkania, nie ma lokatorów domu pod numerem 8, nie ma tamtej, mało ruchliwej ulicy, choć została jej nazwa, nie ma roweru, na którym jeździł chłopiec posiadający to zezwolenie, nie trzeba dziś takich zezwoleń. I nie ma też tamtego chłopca. Jeszcze ja go trochę pamiętam. A oprócz mnie – już prawie nikt. I istnieje jedynie mały, wymięty i wyblakły kartonik, unoszący się jak ledwie widoczny spławik na głębi niebytu.

Zajmowaliśmy część mieszkania na parterze niedużej kamienicy, która należała do Żywiczyńskich. Józefa Żywiczyńska, właścicielka domu, była siostrą mojego dziadka Jana Grabowskiego. Żywiczyński, szwagier dziadka, po wojnie pozostał na emigracji.

Pracował jako górnik w północnej Francji. Skromną dwurodzinną kamienicę, jakich wiele widzi się w małych miasteczkach centralnej i wschodniej Polski, wybudowano w latach trzydziestych XX wieku. Była piętrowa, z jednym mieszkaniem i sklepem na parterze oraz jednym mieszkaniem na piętrze. Na niewielkie podwórze wjeżdża się przez bramę w budynku, jak kamienicach dziewiętnastowiecznych. Dom ten, choć postawiony w początkowej części ulicy, był i nadal pozostaje ostatni w szeregu. Za nim leżał niewielki placyk, na którym później, w latach pięćdziesiątych, ulokowano stację benzynową. Dalej zaczynała się poprzeczna piaszczysta droga, prowadząca przez tak zwane łąki, i kontynuacja przerwane go szeregu domów, już niekoniecznie regularnego i nie zawsze kamienic. Tutaj śródmieście stopniowo przeobrażało się w przedmieście. Do ścisłego centrum szło się stąd najwyżej pięć minut.

Dyktatura proletariatu, która lubiła określać siebie jako ustrój sprawiedliwości społecznej sprawiła, że ciotka Józia, którą mój ojciec nie wiedząc czemu nazywał Franciszką, we własnym domu zajmowała kuchnię z łazienką, bo „nie przysługiwał” jej większy „metraż” – jako właścicielce, więc burżujce oraz żonie emigranta. Z woli rękoma ludowego państwa spełniała więc ludowe obowiązki dozorczyńni. Dziadek Jan spowodował jakoś – jak, tego się nie mówiło przy dzieciach – że do pozostałej części mieszkania na parterze, składającego się ponadto z przedpokoju i trzech pokoiów, nie dokwaterowano ciotce obcych ludzi, lecz moich rodziców. Było to tuż po wyniszczającej wojnie, w miasteczku w przeważającej części unicestwionym przez bombardowania panował dziki głód mieszkaniowy.

Janina i Aleksander, jako młode, jeszcze bezdzietne małżeństwo, otrzymali prawo do tylko jednego pokoju. Cóż z tego, że wkrótce mieli jedno, a później dwoje dzieci? Do 1956 roku mieszkaliśmy na dwudziestu metrach, gdzie rodzice urządzili kąpielnię, kąpielnię, a nawet kąpielnię i coś w rodzaju mikroprzedpokoju. Sąsiednia izba tego mieszkania oraz także sklep przerobiono na biura, w których siedziały jakieś zawsze znudzone urzędniczki i w których nie bywali interesanci.

7. Doris Lessing pisze: *Głównym powodem, tym prawdziwym, dla którego autobiografia musi być przekłamana, jest subiektywne poczucie czasu. (...) nie sposób oddać słowami różnicy między czasem dziecka a czasem dorosłego ani różnego tempa czasu na różnych etapach w życiu człowieka dorosłego. Rok przeżyty przed trzydziestką bardzo różni się od roku sześćdziesięciolatka. (Pod skórą. Tom I, autobiografia do roku 1949. Przełożyła Anna Gren, Warszawa 2010, s. 153)*

To wyjaśnia, dlaczego głównym tematem autografii jest zwykle dzieciństwo. Nie z tęsknoty za minionym, bezpowrotnie utraconym czasem – jak się powszechnie uważa, choć nie bezpodstawnie. Przede wszystkim dlatego, że w dzieciństwie i młodości poznajemy świat. Każde doznanie jest nowe, świeże, pierwsze, mocne. Jest odkryciem i zostaje utrwalone. Potem, kiedy zaczynamy funkcjonować społecznie jako dorośli, kiedy zaczynamy pracę zarobkową, zakładamy rodzinę, najczęściej kończy się poznanie, kończy się przygoda emocjonalna i intelektualna ze światem, przechodzimy do

fazy pragmatyzmu – wykorzystywania cząstek zdobytej wiedzy i zapominania albo tłumienia innych, nie zatrudnionych w codziennej praktyce obszarów naszej osobowości. Zaczynają one wracać w starości, kiedy stopniowo świat wyprzęga nas ze swego powszedniego kierunku. I stąd charakterystyczne dla starych ludzi coraz intensywniejsze przebywanie myślami w młodości.

Zatem – kontynuuje Doris Lessing – *gdyby ktoś postanowił opisać życie pojedynczego człowieka zgodnie ze znaczeniem faktycznie przeżywanego czasu, siedemdziesiąt procent książki przypadłoby na okres do dziesiątego roku życia. Mając napisane osiemdziesiąt procent, byłibyśmy przy piętnastym roku. Napisawszy dziewięćdziesiąt pięć procent, doszlibyśmy mniej więcej do trzydziestki. Reszta jest gonitwą – ku wieczności.* (s. 154)

Tej powszechnej, bezwyjątkowej prawidłowości podlegamy wszyscy, również narrator tych uwag. Dlatego pierwszych szesnaście lat przeżytych w Wieluniu – a świadomie przeżytych mniej, najwyżej trzynaście – jest dla niego tłem wszelkiego doświadczenia, fundamentem odczuwania, modelem rzeczywistości.

Co zaś do zadań, które autorzy książek bezużytecznych muszą niestety sami sobie wyznaczać, to może jednak należałoby odpowiedzialnie potraktować życzenie Antoniego Sulikowskiego (czyli wujka Toniego) i napisać coś o Wieluniu? Bronilem się przed tym ponad trzydzieści lat, obawiając się zejścia w sferę lokalnych sentymentów, zawężonych horyzontów i zapomnianych, nieznaczących zdarzeń. Kiedy jest się młodym człowiekiem rozsadzonym przez nieukierunkowaną, żarłoczną potrzebę zawładnięcia rzeczywistością, wtedy pomysł, by wrócić na ciasne podwórko, z którego wyszło się właśnie na szeroki świat, traktuje się jak nieporozumienie. Po kilku dziesięcioleciach myśli się już inaczej. I choć apetyt na rzeczywistość nie zanika, na możliwości jego zaspokojenia patrzy się bardziej realistycznie. A to, co lokalne – o tym też już wiadomo – niekoniecznie musi być bez znaczenia.

Przez ostatnich kilkanaście lat pisałem głównie na tematy lokalne – o Wrocławiu i Dolnym Śląsku. Mój *Bresław* był jedną z pierwszych wypowiedzi o potrzebie sprawiedliwego poznania niemieckiej przeszłości tych ziem. Napisany był z uczciwą, wręcz naiwną intencją, z najgłębszego przekonania. Tekst powstał z pobudek prywatnych, jako próba wytłumaczenia mojemu wówczas małemu synowi, a przy okazji sobie samemu, zawilej tożsamości miejsca, które dla mojego syna stało się miastem jego urodzenia. I ojczyzną, dla moich dzieci pierwszą, dla mnie drugą. *Bresław*, opublikowany za namową jednego z kolegów-pisarzy, po kilku latach znalazł się wśród coraz liczniejszych i coraz bardziej schematycznych, rytualnych wypowiedzi, powtarzanych do znudzenia mantr politycznej poprawności. Na początku nowego stulecia „wielokulturowość” stała się oficjalnym hasłem równie częstym i równie uzasadnionym jak niegdysiejsza „piastowskość”. A „miasto spotkań” – nieszczęsny, wydałem w 2002 roku książkę pt. *Dolny Śląsk, ziemia spotkania* – jest obecnie idiomem równie rozpowszechnionym jak za towarzysza Władysława Gomułki „demokracja socjalistyczna”.

8. Co zatem pozostaje autorowi, który chciał dobrze, ale wyszło jak zawsze? Nic, tylko ucieczka do przodu. Może to oznaczać pisanie o pierwszej „małej ojczyźnie” i powinno spowodować wydobywanie na powierzchnię przeszłości, która pozostaje w niepamięci, ale która bezustannie kształtuje postawy kolejnych pokoleń rodzących się i żyjących na tamtym terenie. Pod presją historii i jej powojennych porządków nasza zbiorowa uwaga koncentrowała się przede wszystkim na nowym, nowożytnym nomadyzmie, który stał się losem setek milionów w środkowej Europie. Wykorzenienie i zapuszczanie nowych korzeni było przez kilkadziesiąt lat najważniejszym doświadczeniem społecznym. Okazało się niemożliwością równocześnie pamiętać i przyglądać się z taką samą uwagą terenom, które wydawały się nie być dotknięte powojenną wędrówką ludów. Mieszkańcom tych terenów korzeni nikt nie wyrwał. Można im było jedynie zazdrościć szczęścia.

Los sprawił, że należę do tych właśnie szczęśliwców, chociaż moim udziałem stała się również długotrwała, niejako uczestnicząca obserwacja owych wykorzenionych i na nowo zakorzeniających się. W jakimś sensie są mi zatem bliskie obydwie optyki i oba rodzaje doświadczeń. Świadomość sięgających głęboko w przeszłość wielopokoleniowych więzi z miejscem urodzenia daje komfort ukształtowanej tożsamości, którą dziedziczy się równie łatwo jak bogaty spadek. Świadomość, iż kaprys historii może nas z dnia na dzień ubrać w cudzą ojczyznę jak w niechciany uniform, uczy dystansu i trenuje naszą podmiotowość skuteczniej niż najlepsza siłownia.

Jestem wrocławianinem, jestem Dolnoślązakiem. Moje Sévres ze wzorcem świata znajduje się jednak gdzie indziej. W innym mieście, wśród innych ludzi, otoczony brzmącym nieco inaczej językiem, uczyłem się życia. Oczywiście zapisały się w moim umyśle w odmiennych realiach i w innym wariacie. Na początku nie wiemy, że jest to wariant, przyjmujemy go jako universum. Krajobraz i reguły społecznego funkcjonowania, architektura miasta i forma przestrzenna wiosek, stylistyka cmentarza i charakter okolicznych lasów, rytuał religijny i codzienny *savoir vivre*, mowa powszednia i codzienny strój wydają się nam powszechne i jedyne. Tak się dzieje we wczesnym dzieciństwie, a może tak się działo kilkadziesiąt lat temu, kiedy nie było telewizji, Internetu, powszechnych i łatwych podróży, ba, nawet telefon rzadko i z przeszkodami przekazywał informacje.

Jeszcze pokolenie urodzone w pierwszych latach po apokalipsie drugiej wojny światowej mogło początkowo nie wiedzieć, iż rzeczywistość okaże się bardziej zróżnicowana.

9. Bezsens pisania autobiografii jest zasadniczy, tkwi w fundamentach takiej pracy i przez to czyni ją niepewną i nietrwałą. Przede wszystkim w autobiografii nie można napisać prawdy, i to z kilku istotnych powodów. Po pierwsze, nawet sami dla siebie, na własny psychiczny oraz społeczny użytek zakłamujemy swój wizerunek. Fałszujemy swoją przeszłość, kreujemy dawne doświadczenia, zamieniając je w fikcję poddaną prawom kompozycji oraz interpretacji *ex post*. Po drugie, w autobiografii nie można na-

pisać prawdy również z tego elementarnego powodu, że żyją ludzie, których by ta opowieść mogła dotknąć. Nawet wtedy, kiedy bardzo byśmy dbali o obiektywizm naszych relacji, nasz ogląd nigdy nie byłby identyczny z cudzym. Pośrednio zatem, poprzez zmianę stosunku tych ludzi do nas, również my ponieśliśmy bolesne konsekwencje owego wyznania. Dlatego z autobiografiami czeka się długo i z tych powodów zastrzeżę się, że – na przykład – dzienniki czy pamiętniki mogą być publikowane w jakiś czas po śmierci autora. Jednak zwlekanie z publikacją przez kilkanaście czy nawet kilkadziesiąt lat sprawi, że wraz ze śmiercią osób w autobiografii obecnych, odejdzie też pokolenie znające opisywaną rzeczywistość. Natura autobiografii jest więc istotnie paradoksalna: nie można jej pisać – a zwłaszcza ogłaszać – kiedy żyją ludzie, którzy chcieliby ją przeczytać. Zaś kiedy będzie można, kiedy publikowanie stanie się etycznie i społecznie bezpieczne, zabraknie już czytelników, którzy byliby tą książką zainteresowani.

Możliwe jest również, że taka opowieść nie uda się, lub nawet udać się nie może z powodu naszej świadomości rozproszenia i niepoznawalności świata. Kiedy w połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia korespondowałem z Czesławem Miłoszem, mieszkającym wówczas jeszcze w Berkeley, w jednym z listów napisał mi: *Pytania Pana, nie ukrywam, są dla mnie kłopotliwe. Odpowiedź wymaga przeniesienia absolutnie innej aury na aurę dzisiejszą i przypominając tamte lata zdałem sobie sprawę, że właściwie nic nie jest do przekazania, czyli że tak naprawdę przeszłość pozostaje niedostępna.*

grudzień 2009 – styczeń 2011